Rozmaitości

DNIA 1. LISTOPADA N^er 44. 1834 ROKU.

BURDA POJEDYNKOWY.

(Z angielskiego.)

Wkrótce po mojém przybyciu do Ameryki powołały mię interesa handlowe do Kingstown, na wyspie Jamaice. Lubo listów zalecających nie przywiózłem z sobą, byłem jednak po upływie kilku dni do najlepszych kompanij przyjmowany. W onczasto (1817) doznawali cudzoziemcy w Ameryce najszczérszéj i najprzyjemniéjszéj gościnności. Pewnego dnia zaprosił mię jeden z najmajętniejszych kupców na obiad; było nas wszystkich dwudziestu pięciu zaproszonych gości. Jedzenie dano wyborne, *dessert* nader delikatny. Po obiedzie wniesiono toasty. Damy usunęły się do swoich pokoi. Głowy zaczynały rozgrzéwać się z obficie wypitego szampana. Hucznie bawiono się pogadanką o różnych rzeczach; nareszcie zabrzmiały spiéwy, i w chwili, gdy gospodarz domu wezwał kompaniję, ażeby się do dam udała, ktoś z obecnych odezwał się z życzeniem, że, nim na kawę pójdziemy, dobrzeby było, ażeby kapitan Stewart zaspiéwał piosnkę górali szkockich, w narzeczu gielickiém. Gospodarz nié miał nic przeciw temu, ale kapitan oświadczył, że, lubo urodził się w północnéj Szkocyi, lecz wychowanym będąc w Edynburgu, nié miał zachowania z mieszkańcami gór; przeto nie umie dobrze gielickiego języka swych ziomków i nie zna żadnéj piosnki gielickiéj. Oświadczeniem tém byli wszyscy zadowoleni, wyjąwszy Henryka d'Egville. Ten bowiem żądał najprzód téj piosnki.

D'Egville, niegdyś plantator w St. Domingo, opuściwszy młodym podczas rewolucyi tę wyspę, znalazł schronienie w mieście Kingstown. Miał teraz dopiéro lat czterdzieści, lecz znacznie starszym robiły go długie czarne rzęsy, ognia pozbawione oczy, i śniada płeć, tak, że na pierwszy rzut oka można go było brać za mającego pięćdziesiąt obłożonych. Przytém był dosyć otyły i widać to było po nim, że nie lata, lecz nieregularne życie, zgasiły ogień ócz jego.

Lubo d'Egvillowi wszyscy obecni odradzali to, obstawał jednak przy swojém, ażeby kapitan spiéwał koniecznie piosnkę górałów szkockich. Pośród zgiełku, powstałego w téj nieprzyjemnéj scenie, przebąknął Stewart kilka słów z uśmiéchem, w końcu rzekł, że pomyśli, a może sobie przypomni jaką piosnkę. Raptem ucichła kompanija, a kapitan, zapowiedziawszy balladę, pod tytułem: »Dama gór szkockich,« zaspiéwał odę Anakreona. D'Egville, podobnie jak wszyscy wychowani w osadach, nié miał najmniéjszego ukształcenia klasycznego; przytém piosnka spiéwaka greckiego mogła tym bardziéj i u innych za pieśń górali szkockich uchodzić, ileże wino już wielu gościom zawróciło głowę. Kilka tylko osób z kompanii znało piękny język, którym wieszcz z Teos spiéwał; te uśmiéchały się na podstęp kapitana, lubo nie pojmowały go zupełnie. Gdy mniemana pieśń szkocka ukończona została, huczne brawo dostało się spiéwakowi w nagrodzie. Nikt jednak głośniéj nię okazywał swojego ukontentowania, jak d'Egville; oświadczył, wychyliwszy duszkiem szklanicę wina burgundzkiego, że język szkocki jest tak przyjemny, i tak melodyjny, jak francuzki, i prosił kapitana o tłumaczenie téj pieśni. Kapitan uczynił jak najchętniéj zadosyć jego życzeniu. D'Egville zachwycony był tak dalece po-

chwałą piękności w ustach górala szkockiego, że kilkakrotnie ściskał Stewarta za rękę. Nie wiedział, że tę pochwałę Anakreonowi był winien. Kapitan, odbierając te wszystkie pochwały, nie mógł się wstrzymać od ironicznego uśmiechu.

Wieczora tego nic więcej nie zaszło; czas było już wrócić do domu. Ponieważ wypadało mi iść w okolicę wybrzeża, odprowadzałem więc kapitana Stewart, wracającego na pokład wschodnio-indyjskiego okrętu, na którym dowodził, a który miał nazajutrz do Europy powracać. W drodze życzyłem mu szczęścia, że tak gładko wywinąwszy się z ambarasu, gościom także tak przyjemną sprawił rozrywkę. Kapitan przyznał mi się, że zaraz po wstąpieniu swojém w służbę wojskową zapomniał prawie całkiem naukę języków klasycznych, dopiéro r. 1814, gdy krążył czas niejaki przy brzegach zachodnich Anglii, znalazł sposobność, a przytém dosyć czasu, do odnowienia znajomości z swymi dawnymi przyjaciołmi z Rzymu i Grecyi. »I widzisz wćpan,« dodał, »że jeden z nich wybawił mię z nie małego kłopotu; ten bowiem d'Egville jestto niebezpieczny człowiek, jestto burda pojedynkowy z profesyi.«

»Burda pojedynkowy!« zawołałem.

»Tak jest panie, burda pojedynkowy w całém znaczeniu tego wyrazu, i taki człowiek nie powinien być cierpiany w dobrych towarzystwach. D'Egville zaś jest więcej jeszcze jak burda pojedynkowy, jestto skrytobójca. Złoczyńca ten zasługuje na to nazwisko; tak bowiem wyćwiczył się w strzélaniu, że kulą o dwadzieścia kroków w samym środku *asy* przebija. Pojedynek stał mu się tak dalece nałogiem, że w chwili, kiedy na swojego mierzy przeciwnika, śmieje się, żartuje, lub zażywa tabakę. Czasem ubierze się umyślnie po dziwacznemu, ażeby dać ludziom powód do śmiéchu, a potém módz ich wyzywać.«

Słowa kapitana największe na mnie zrobiły wrażenie; słuchałem go, nie przerywając mu wcale. »Pomiędzy takimi junakami są często tacy, co mają sumienie,« mówił daléj, »ale ten nié ma ani iskry ludzkości w sercu. Poluje nieustannie na nowe ofiary i najszczęśliwszy jest wtedy, gdy stoi o pietnaście kroków na przeciw swojego przeciwnika.« Tu chwilę zatrzymał się Stewart, a potém rzecze drżącym głosem: »I ja raz w młodości mojej miałem nieszczęście zabić w pojedynku człowieka; od tego czasu nié mam ani chwili spokoju, a jednak miałem słuszność, biorąc podług zwyczajnych wyobrażeń honoru.«

»Jeden z kolegów moich, imieniem Cameron, obraził był pewną damę w teatrze; ująłem się za damą, a Cameron podniósł na mnie rękę. Żądałem satysfakcyi, nazajutrz strzélaliśmy się, a lubo nie najlepiéj strzélam, w samę pierś jednak trafiłem Camerona. Biédny przyjaciel mój padł i po krótkiéj walce śmiertelnéj wyzionął ducha. Pamięć o tém okropném zdarzeniu zatruła życie moje. Często we śnie widzę nieszczęśliwego przyjaciela mojego, walczącego ze śmiercią u nóg moich, słyszę przytłumione jęki, wychodzące z jego rozkrwawionéj piersi; nie raz gdy sam jestem, widzę, jak pada na ziemię, pociskiem śmierci ugodzony, a obok niego leży dymiący się jeszcze pistolet. W ciszy nocnéj, gdy księżyc Ocean oświeca, postrzegam trupa jego w dalekowidni z bałwanów morskich wychodzącego.«

Milcząc szliśmy obok siebie, zatopieni w myślach; dostaliśmy się nareszcie do szalupy, mającéj towarzysza mojego przewieść na pokład okrętu. Chciałem się z nim pożegnać, ale wezwał mię, ażebym mu towarzyszył na pokład *Plantatora*, tak się nazywał okręt wschodnio-indyjski, będący pod jego dowództwem. W dzień padał dészcz, chmury *mosquitów* napełniały powietrze, przyjąłem więc zaprosiny kapitana, do którego przywiązałem się już nie mało. Wsiadłem z nim do szalupy i w kilku minutach byliśmy na okręcie. Było już poźno, albo raczéj bardzo rano, gdyż była druga nad rankiem. Położyłem się na rozpiętą matę i przespałem resztę nocy. Z rana zbudził mię majtek, donosząc, że śniadanie gotowe; ale mając w skutek przepicia się dnia wczorajszego mocny ból głowy, nie poszedłem do stołu. Kapitan namówił mię do zostania przez cały dzień na okręcie; utrzymywał bowiem, że świeże powietrze morskie uleczy mię zupełnie. Zostałem się, nie mając ważnych interesów w mieście.

Plantator był już zupełnie naładowany, przeto Stewart mało miał do czynienia.

Przegadaliśmy cały poranek. Kapitan byłto bardzo przyjemny człowiek; a choć często miéwał dziwne pomysły, i te nie zawsze trafne były, miały jednak zasługę oryginalności. »Ktoteżto płynie do nas w tym lekkim statku!« zawołał Stewart, patrząc przez szkło powiększające: »Co widzę, to kapitan Wilthorpe!«

»Któżto jest ten kapitan?«

»Oficér w służbie rzeczypospolitéj kolumbijskiéj i godny przyjaciel owego burdy. Łatwo domyślam się, w jakim zamiarze przybywa...« Szalupa zawinęła do *Plantatora*; Wilthorpe, bo on to był, który w niéj przypłynął, dowiadywał się, czy kapitan Stewart jest na pokładzie. Gdy mu powiedziano, że jest, wbiegł spieszno po drabinie na pokład. Wilthorpe miał coś niewieściego w twarzy, by to ukryć, zapuścił ogromne faworyty i wąs duży ocieniał jego usta. Głowę zadziérał do góry i starał się nadać sobie minę wojskową. Zdawało się widzieć żołniérza udającego oficéra.

»Czy mam honor mówić z kapitanem Stewart?« rzekł zbliżając się ku nam.

»Ja nim jestem,« odpowiedział kapitan, ukłoniwszy się od niechcenia.

»Kiedy tak,« mówił daléj Wilthorpe, »to chciałbym miéć zaszczyt mówić z panem sam na sam.«

»Nie wiém,« odparł kapitan, »cobyśmy z sobą mieli takiego do mówienia, czegoby ten pan wiedziéć nie mógł.«

»Czy mogę zapytać się,« rzecze Wilthorpe, pojrzawszy na mnie, »czy ten pan ma honor być przyjacielem wćpana, mości kapitanie?«

»To mało wćpana obchodzić powinno; ale racz mi powiedziéć, co go do mnie sprowadza?

Na te słowa przybrał Wilthorpe minę junaka, zadarł głowę do góry, stanął na palcach, ażeby się wyższym wydawał, i z całą powagą żołniérza wyjął list z pularesu i, wręczając go kapitanowi, rzekł: »Oto jest list, proszę przeczytać.«

List był następującéj treści: »Oddawca »tego listu, pan kapitan Wilthorpe, ma zle»cenie ode mnie załatwić sprawę honorową »między mną i kapitanem Stewart.«

(Podp.) »Henryk d'Egville.«

»Cóż ten list znaczy?« zapytał Stewart, przeczytawszy pismo, »czego chce ode mnie pan Henryk d'Egville?«

»Wytłumaczę wćpanu rzecz tę jaśniéj,« rzecze kapitan rzeczypospolitéj kolumbijskiéj. »Mój przyjaciel d'Egville uważa się za obrażonego, ponieważ wćpan śpiewałeś wczoraj na obiedzie u pana Invoice piosnkę, którą za szkocką udałeś, i dał mi zlecenie, ażebym prosił wćpana, byś raczył stawić się jutro za skałami Inguanny.«

»Możesz wćpan powiedziéć panu d'Egville, że się nie stawię na to wezwanie. Nie chcę pomnażać liczby zabójczych ofiar jego.«

»Nie wierzę, ażebyś panie taką odpowiedź dawał człowiekowi honoru, którego tak szkaradnie obraziłeś. Mamże istotnie powiedziéć to przyjacielowi mojemu, że wćpan wzbraniasz się dać mu satysfakcyją?«

»Mówię po angielsku, a wćpan rozumiész ten język; lub chcesz może, ażebym panu d'Egville po grecku, albo po szkocku odpowiedział!«

»Więc pan d'Egville będzie miał prawo rozgłosić powszechnie, że bojaźń przeszkadza wćpanu dać mu satysfakcyją,« odrzekł z pogardą oficér kolumbijski.

»Na opinii pana d'Egville nic mi nie zależy,« wyrzekł Stewart z godną podziwienia oziębłością.

»Pan d'Egville będzie miał prawo publicznie wćpana zawstydzić.«

Twarz Stewarta zrumieniła się raptownym gniewem, ale wnet się pomiarkował i rzekł, naśladując szydersko głos i miny Wilthorpa: »Jeźli wćpan nie chcesz mnie zmusić do tego, ażebym rozkazał skąpać go w morzu, to bądź łaskaw oddalić się ztąd jak najprędzéj.« Gdy to rzekł, nadbiegło kilku majtków; Wilthorpe rzucił na Stewarta wzrokiem rozgniewanego człowieka, wsiadł do szalupy i oddalił się spieszno.

»Nie wiém jak będą sądzić o moim postępku,« powiedział Stewart, »lecz gdy raz już przelałem krew człowieka, zakazuje mi sumienie przyjąć drugi pojedynek. Życie z resztą jest za nadto drogim darem nieba, iżbym mógł poświęcać je dla dania satysfakcyi człowiekowi, którym pogardzam.«

»Postanowienie wćpana robi mu honor, jednakże.....«

»Wiém co wćpan powiedziéć chciałeś,« przerwał mi Stewart; »chcesz się zapytać, co będę czynił, jeźli d'Egville sprawdzi groźby,

wyrzeczone przez tego niegodziwca Wilthorpe. Noszę na sobie blizny ran pięciu, będące zaszczytném świadectwem usług moich, poświęconych ojczyznie. Trzykrotnie byłem raniony w bitwie pod Trafalgar. Za nadto widoczne są te blizny, by je ręka jednego burdy zatrzéć mogła.«

Byłoto w saméj istocie szlachetne postanowienie, ale Stewart nie mógł go utrzymać. W godzinę po téj rozmowie wysiadł przyjaciel mój w porcie na ląd, dla wydania ostatnich rozkazów; towarzyszyłem mu. Zaledwo przybyliśmy do nabrzeża, gdy d'Egville, którego nie postrzegaliśmy piérwéj, stanął raptem przed nami, uderzył Stewarta pręcikiem od konia po twarzy, dosiadł prędko rumaka i odjechał. Stało się to w obecności kilku osób i króciéj trwało zaiste, jak to opowiadam. Rysy twarzy Stewarta były zwykle tak miłe, tak regularne, tak łagodne, że zdawało się, iż nie są w stanie wyrazić gwałtownych i gniewliwych poruszeń umysłu; w téj zaś chwili tak dalece oszpeciła go wściekłość, że nie był do poznania. Nie widziałem jeszcze człowieka w takim stanie; gwałtownie robił piersiami pośród walki największych namiętności. Udało mi się jednak zaprowadzić go do mojego domu, nie daleko ztamtąd stojącego, i prosiłem go, ażeby się upamiętał, lecz wszystko nadaremnie. Dużémi krokami przechadzał się po pokoju, miotając przekleństwa i złorzeczenia na d'Egvilla. Raptem zatrzymał się: »Dobrze, niech i tak będzie,« rzekł, »świat uwolniony zostanie od tego mordercy; życie moje na to odważę!« Poczém uchwycił moję rękę i uścisnął ją z siłą konwulsyjną: »Czy chcesz wćpan,« mówił do mnie, »być moim sekundantem?« Dałem znak skinieniem głowy, że będę, a on udzielił mi postanowienia, które był zrobił. D'Egville miał niezawodnie zginąć w pojedynku, ale i mój przyjaciel nie chciał ochronić się od śmierci. Byłto tak okropny projekt, że cofnąłem dane słowo być sekundantem. »Jako?« rzekł Stewart, »to wćpan chcesz być sekundantem moim pod warunkiem, jeźli stanę o dwadzieścia kroków od przeciwnika mojego, który pewny swojego wystrzału, a wzbraniasz się, gdy niebezpieczeństwo jest równe? Będę więc musiał szukać innego sekundanta! Lecz któż zechce być świadkiem pojedynku, w którym niezawodnie zginę? Kiedy tak, to sam pójdę!«

Byłem w bardzo przykrém położeniu; miałem tylko dwie rzeczy do wyboru, albo być świadkiem pojedynku, w którym obaj przeciwnicy paść mieli, albo przyjaciela mojego, jeźli dam mu pójść samemu, wystawić na złośliwe podstępy niegodziwego Wilthorpa. W końcu, gdy pomyślałem chwilę, powziąłem nadzieję, że mój przyjaciel nie padnie: »Oto masz wćpan rękę moję,« rzekłem do Stewarta, »będę towarzyszył wćpanu.« Stewart nic nie odpowiedział, ale uścisnął mię tkliwie. »Trzeba będzie posłać cztérech majtków,« rzecze stanowczym głosem, »ażeby grób dla dwóch trupów wykopali. Wćpan z łaski swojéj napiszesz mój testament i rozkazy moje wręczysz porucznikowi *Plantatora.* O 6stéj godzinie, nie zapomniéj wćpan, koło zatoki, za skałą Inguanny.« Stewart odszedł; ja udałem się natychmiast do pomieszkania d'Egvilla. Lubo już była godzina druga, zastałem go jeszcze przy śniadaniu. Wstał gdym wszedł i prosił mię usiąść z sobą do stołu. Podziękowawszy mu powiedziałem, że kapitan Stewart dał mi do niego zlecenie.

»No jakże, namyślał się przecież bić się ze mną? Dziwi mię to mocno, że oficér tak wysokiego stopnia jest tak trudnym do działania jako człowiek honoru.«

»Zgadłeś panie cel mojego przybycia, raczysz zatém stawić się na miéjscu wyznaczoném przez pana Wilthorpa.«

»Możesz pan spuścić się na mnie.«

»Pozostaje mi jeszcze zawiadomić wćpana o warunkach, jakie pan Stewart podaje.«

»Nie potrzeba tego. Jestto punkt, który tylko do wćpana i do kapitana Wilthorpa należy. Co wćpanowie postanowicie przystanę na to.«

»Przebacz mój panie, ale z takim człowiekiem jak Wilthorpe nie chcę miéć do czynienia, i muszę przeto sam zawiadomić wćpana o warunkach pojedynku.« To powiedziałem mu w krótkości, że Stewart porobił przygotowania, ażeby razem z przeciwnikiem swoim życie utracił. Twarz d'Egvilla zachmurzyła się na to.

»Biję się jako człowiek honoru, ale pod takiémi warunkami strzélać się nie będę.«

»A mój przyjaciel tylko pod témi warunkami strzélać się myśli. Wćpan jesteś

strzelcem piérwszego rzędu, a kapitan Stewart nie najmocniéj strzéla z pistoletów. Jeźli nie stawisz się, to mój przyjaciel uważać się będzie za upoważnionego, hańbić wćpana na każdém miéjscu, gdzie go tylko zdybie. Proszę bardzo nie rzucać na mnie tak groźnego wzroku; nie przyszedłem nowéj szukać zwady i chciałbym wiedzieć tylko, czy przystajesz wćpan na okropne wprawdzie, ale szlachetne i pełne honoru warunki przyjaciela mojego?« D'Egville nie odpowiadał.

»Więc wćpan nie przyjmujesz pojedynku?«

»Co, jabym miał pojedynku nie przyjąć? Ja, Henryk d'Egville z Cap-Français mógłżebym to uczynić? Stanę i przyjmuję warunki kapitana Stewart.«

»A zatém o godzinie szóstéj za skałami Inguanny.«

»Dobrze, będę tam o godzinie szóstéj.«

Ukłoniłem się i odszedłem. Na schodach słyszałem, jak d'Egville wołał służącego i kazał mu miéć pistolety na pogotowiu. Kazał także przywołać Wilthorpa z sali bilardowéj.

D'Egville, Wilthorpe, Stewart i ja byliśmy o szóstéj godzinie koło zatoki, za skałami Inguanny. W niejakiém od nas oddaleniu, na brzegu morza, widziałem świéży grób, dosyć obszérny do pomieszczenia dwóch trupów. Umówiono się, że obaj pojedynkujący się staną na przeciw siebie na brzegach grobu, trzymać będą chustkę za końce i na dany znak wystrzelą razem z pistoletów. Śmierć obu przeciwników zdawała się być nieodzowną. Słońce w całym jeszcze blasku świeciło. Widziałem Stewarta, jak smętne rzucał spojrzenie na jaśniejącą w zupełnéj okazałości królową dnia, jak gdyby z jéj miłém żegnał się światłem; zdawał się także modlić, ale postawa jego była spokojną i stałość okazującą. D'Egville patrzał przed siebie bez ruchu i prawie bez przytomności. Wilthorpe i ja nabiliśmy pistolety, potém losowaliśmy, na kogo wypadnie znak dać: los padł na mnie. Poczém zbliżyliśmy się do grobu, d'Egville i Stewart stanęli po brzegach, uchwycili końce chustki, a my podaliśmy im pistolety. Byłato okropna chwila.

»Moi panowie, czyście już gotowi?« zawołałem.

»Jesteśmy gotowi,« odpowiedzieli zaledwo słyszanym głosem.

Niczém niezachwiana spokojność spoczywała ciągle na miłéj twarzy Stewarta, bladość śmiertelna okrywała oblicze jego przeciwnika. Nadaremnie usiłował przyjść do siebie, trwoga i przerażenie co raz bardziéj opanowywały tchurzowski umysł jego. Twarz jego była okropnie zeszpecona, dygotał zębami, drżał jak liść na całém ciele, chustka i pistolet wypadły mu z ręki, kolana się pod nim zachwiały i potoczył się w grób otwarty.

Henryk d'Egville, ów burda pojedynkowy, którego się powszechnie lękano, który przelał krew kilkudziesiąt ofiar, leżał teraz omdlały w grobie; zdawało się, że był pociskiem śmierci rażony. Stewart, widząc tak mizerny stan swojego nieprzyjaciela, zawołał w tonie szlachetnéj pogardy: »Niegodziwcze, za nadto jesteś nikczemném stworzeniem, ażebyś był godzień mojego gniewu!« i pistolet rzucił daleko od siebie.

Wsiedliśmy do szalupy, nie daleko z tamtąd stojącéj, i zostawiliśmy d'Egvilla staraniom jego godnego przyjaciela. Dwóch majtków było, mimo wiedzy naszéj, świadkami tego zdarzenia. Gdyśmy więc na pokład powróoili, powszechnie o całéj historyi wiedziano. Osada *Plantatora*, ubóstwiająca swojego kapitana, przyjęła go z oznakami największego uniesienia. Nie podobna miéć wyobrażenia o szalonéj prawie radości tych poczciwych ludzi. Ściskali go, mimo jego wzbraniania się podnosili do góry, i w tryumfie oprowadzali po pokładzie, pośród głuszących prawie okrzyków wesołości. Wieść o szczęśliwym wypadku pojedynku, mogącym miéć łatwo tak okropne skutki, rozeszła się wkrótce po innych także w zatoce na kotwicy stojących okrętach, i osady ich odpowiadały z równym zapałem na radośne okrzyki majtków *Plantatora*.

S O N E T Y

TOMASZA AUGUSTA OLIZAROWSKIEGO.

F U R Y J A.

Młody człowiek przebiegał wzdłuż i wszérz pokoju,
I na głos wielki, dziwny, wołał wzajemności,
A umysł mu wygorzał od ognia miłości,
A uczucia w nim były, jak narody w boju.

Rysy szczęścia cierpieniem zbrukane miał w twarzy,
Wzdychał, płakał, wyrzekał, wołał wzajemności,
Śmiał się gorzko, złorzeczył chwilom samotności,
Zdał się w sobie zastygać, to znowu się żarzy,

I błyszczy jako węgiel na ogień rzucony,
A spopieleć nie może. — »Co się dzieje ze mną?
Gdzie jestem? i kto jestem? jaki ja szalony!...«
I. wołał wzajemności, i wołał daremno;
A w tem furyja wyciekła z pod dusznej zasłony,
I rzekła na głos wielki: »Jestem ci wzajemną!«

PIŁKA SZATANA.

Niewiasto! temu serce, temu dajesz mękę,
Temu łzy, temu uśmiech, temu zamyślenie,
Temu słówek nektary, tamtemu westchnienie,
Tamtemu wszystko razem i serce i rękę.

U tego wynęciłaś wdziękami piosenkę,
Temu szczęście zabrałaś, a dałaś życzenie,
A jednak mówią ludzie, że ty masz sumienie
Tak białe, jak twa ręka, a śnieżną masz rękę.

I usta twoje kwitną miłości barwami,
I oczy twoje patrzą błękitu oczami,
Płeć twoja księżycowa, twa postac utkana
Z przędzy marzeń, i dobrze twoja myśl ubrana;
Baw się płoche stworzenie ludzkiemi sercami,
Ta niewinna zabawa jest piłką szatana.

NOWE ODKRYCIE.

KOLORY WEDŁUG SWOJÉJ ROZMAITOŚCI WCIĄGAJĄ W SIEBIE WYZIEWY OTACZAJĄCYCH JE PRZEDMIOTÓW.

W dzienniku angiel. *Repertory of Patent-Inventions* czytamy o nader ważném odkryciu, zrobioném przez dra. Stark, który w zimie r. 1831, uczęszczając do sal anatomicznych, gdy razu pewnego w odzieniu koloru czarnego obecnym był sekcyi anatomicznéj, powróciwszy do domu, nie tylko tego samego dnia, lecz i w kilka dni później, biorąc na siebie tę samę czarną odzież, postrzegł z podziwieniem, że tchnie jeszcze trupem, czego przed tém nie doświadczał, gdy zwykle w surducie koloru oliwkowego chodził, lubo czasem w tym swoim powszednim ubiorze obecnym bywał otwiéraniu daleko więcéj nadpsutych trupów; wpadł zatém piérwszy na myśl, czyliteż nie zawisło od kolorów rzeczy, że jedne mniéj drugie więcéj wciągają w siebie wyziewów otaczających je przedmiotów. Po tém przypadkowém postrzeżeniu różne robił doświadczenia, zamykając w jedném naczyniu z kamforą i asafetydą różnych kolorów wełnę, bawełnę, jedwab i tym podobne materyje, i dociekł nareszcie, że rzeczy koloru czarnego najbardziéj wciągają w siebie i najdłużéj w sobie zatrzymują wyziewy otaczających je przedmiotów, wydające woń miłą lub niemiłą, a nawet odrażającą: mniéj od koloru czarnego wciąga w siebie tę woń kolor niebieski; po nim idą stopniowo kolory czerwony, zielony, żółty; a najmniéj wyziewów z obcych przedmiotów wsiąka w rzeczy koloru białego. Dostrzegł potém, że rzeczy nawet tego samego koloru z natury swojéj nierówną wciągają ilość wyziewów z otaczających je przedmiotów, i tak np: że wełna wciąga w siebie więcéj od bawełny tego samego koloru, a jedwab więcéj od wełny, i wniósł z tego, że w ogólności więcéj wciągają w siebie obcych wyziewów materyje, złożone z części zwierzęcych, jak złożone z części roślinnych. Nowe to odkrycie posłużyć może badaczom przyrody do dalszych doświadczeń, z których wyniknąć mogą ważne dla ludzkości odkrycia: jeżeli się bowiem sprawdzi, że mocne zapachy, pochodzące z ciał zepsutych, wyziewy odrażające i t. d. zarażają powietrze, łatwiéj będzie uchronić się zarazy, ubiérając się w takich przypadkach w odzież z takiéj materyi i takiego koloru, które najmniéj wciągają w siebie wyziewów z ciał obcych. Z tego powodu radzi dr. Stark, ażeby szpitale, więzienia, koszary często wybielać; ażeby posługacze w szpitalach w bawełnianéj odzieży chodzili, i ażeby odwiedzający chorych lekarze nie ubiérali się czarno. W końcu dodaje dr. Stark, że w Szkocyi, mianowicie w mieście Edynburgu cholera dla tego nie tak bardzo, jak gdzie indziéj, grasowała, ponieważ dla większego ochędostwa podczas téj zarazy wszystkie mury często bielono, chociaż wtenczas wpływ koloru rzeczy na wsiąkanie w nie wyziewów otaczających je przedmiotów nie był wiadomy. J. T.

BĄDŹ ZDROWA.

(Naśladowanie z Katulla.)

Bądź zdrowa! jeżli kiedy modły szczere
Za bliźnich szczęście wysłuchane były,
Moje w powietrzne nie rozlecą pyły,
Lecz z twem imieniem wioną w niebios sferę.
Czcze są westchnienia, próżne łzy i słowa...
Oh! stokroć więcéj, niżli w łzach, co płyną
Z ócz konających ciężkich win przyczyną,
Jest w tych ostatnich — Bądź zdrowa! Bądź zdrowa!

Te usta nieme, te oczy są suche;
Ale w mym mózgu, ale w sercu mojem
Czuwa strapienie bez wiary w otuchę,
I myśl co chwili nie uśnie spokojem.
Skargą nie może, nie śmie wyjść ode mnie,
Choć żal i boleść w głębi duszy knowa...
Oh! ja wiem tylko — żem kochał daremnie,
Ja tylko czuję — Bądź zdrowa! Bądź zdrowa!

WŁADYSŁAW S.

— Ze Lwowa. —

Z początkiem roku przyszłego wyjdzie w Wiedniu, nakładem księgarni Wenedikta, dzieło: *Lexicon universale librorum slavicorum, qui inde ab anno 1475 usque ad annum 1834 in Bohemia, Moravia, Ungaria, Russia, Serbia, Slavonia, Dalmatia, Croatia, Illiria, Polonia, Silesia etc. et in teris confinibus prodierunt* (Powszechny księgospis wszystkich dzieł sławiańskich, wydanych we wszystkich narzeczach sławiańskich od r. 1475 do końca r. 1834, a mianowicie w Czechach, Morawie, Węgrzech, Rossyi, Serbii, Slawonii, Dalmacyi, Horwacyi, Illiryi, Polszcze, Szląsku i t. p., także w krajach sąsiednich). Księgospis ten ułożony będzie porządkiem abecadłowym, z dokładnem wyrażeniem wszystkich autorów, tak bezimiennych, jak i pod przybranémi nazwiskami występujących, roku ich urodzenia, śmierci; stanu. Znajdzie tu czytelnik dokładną wiadomość o wydaniach dzieła każdego, o formacie, miejscu druku, nakładniku, wydawcy lub tłumaczu, o cenie sklepowéj lub antykwarskiéj dzieła, o znanych istnących rękopismach. Oprócz tego dodanych będzie wiele wiadomości biblijograficznych, cytatów i t. p. w języku sławiańskim, niemieckim, francuzkim, angielskim, łacińskim, oraz spis dzieł, wyszłych w językach obcych o pismiennictwie, języku i dziejach sławiańskich; w końcu wykaz materyj. Dzieło to wypracował Wacław Jérzy Dunder, zarządca księgarni sławiańskiéj Wenedikta w Wiedniu. Składać się będzie z ośmiu tomów czyli 500 do 550 arkuszy w formacie słownikowym. Tom I. i II. obejmie: Literaturę czeską (czeską, morawską, słowacką, banacką i t. d.) III. i IV. Literaturę ruską i staro-sławiańską (wielko- i mało-ruską, ruteńską, biało-ruską, cerkiewną i t. d.). V. i VI. Literaturę polską (wielko- i mało-polską, szląską i t. d. (Życzyćby należało, by oddział ten był dokładniéjszy, jak w podobnych dziełach, nie wyjąwszy nawet sławniéjszych, bywa o literaturze polskiéj.) Tom VII. i VIII. Literaturę serbską i illiryjską (serbską, bułgarską, dalmacką, bośniacką, horwacką, korytańską, słoweńską, illiryjską i innych pomniejszych południowych rozrodów.) Na dzieło to przyjmują przedpłatę we wszystkich księgarniach krajów sławiańskich.

Wyszedł: List pasterski księdza Michała Korczyńskiego s. teologii doktora, z Bożéj i Apostolskiéj Stolicy łaski przemyskiego biskupa do dyjecezanów po polsku, w arkuszu jednym w Wiedniu, drukowany u wdowéj Ant. Strausa. Drugi list po łacinie do stanu duchownego, tak świeckiego jako i klasztornego, także w arkuszu i w téjże drukarni.

W Bernie u J. G. Trasslera wyszły narodowe pieśni morawskie z muzyką, pod tytułem: *Morawské Narodnj Pisne z gegich melodiemi.*

Rodzina muzykalna Kąckich daje teraz koncerta w Preszburgu.

Z Krakowa. Towarzystwo naukowe krakowskie odbyło dnia 18. października roczne posiedzenie swoje, jako w rocznicę zaprowadzenia konstytucyi od NN. Protektorów wolnemu miastu nadanéj, na którem pan Karol Mecherzyński, po stosownem do uroczystości zagajeniu, czytał rozprawę: »O pojęciu filozoficzném historyi literatury polskiéj,« a pan Jan Kanty Steczkowski zamknął posiedzenie rozprawą: »O kometach w ogólności, a w szczególności o komecie Halleja, którego powrotu w przyszłym roku oczekujemy.«

Donoszą z Poznania, że Edmund St. Bojanowski przełożył z lorda Byrona poemat dramatyczny: Manfred i nie za długo na widok publiczny wydać zamyśla.

W Wilkowie, w Królestwie Polskiém, umarł przed rokiem w majętności swojéj Nestor budowniczych polskich Jakób Kubicki, intendent general. budow., urodzony w Warszawie r. 1753. Sądzimy, że nie od rzeczy będzie wspomnieć tu o nim, ileże tak słusznie należy do historyi sztuk pięknych w Polszcze. Kształcony we Włoszech kosztem opiekuna nauk i sztuk pięknych, króla Stanisława Augusta, przyłożył się po powrocie do kraju r. 1787 swoją zdolnością do wzniesienia wszystkich prawie gmachów, które za panowania króla Stanisława Augusta Warszawę przyozdobiły. Przy świetnym zjeździe cesarzowéj ros. Katarzyny II. ze Stanisławem Augustem w Kaniowie, urządzał Kubicki przyozdobienia wszystkich tam danych festynów, i ówczesny poseł francuzk. przy dworze rossyjskim, Segur, wspomina zaszczytnie w swém dziele o talencie młodego artysty polskiego. Mnóstwo gmachów liczy Polska, wzniesionych jego pomysłem, kilkadziesiąt kościołów, pałaców i domów obywatelskich, a w Warszawie imię jego uwieczniają Łazienki i kościół luterski, przy których wraz z Zugiem i Kamzecerem pracował, sam zaś wzniósł główny pawilon koszar Alexandrowskich, pałac Belwederski, ujeżdżalnię przy saskim ogrodzie; wreszcie wzniesione przez niego arkady tarasowe przy zamku przypominają wiszące ogrody starożytnych.

Z Wilna. Utalentowany pisarz powieści historycznych Józef Kraszewski, o którego wydanych w r. 1833 dziełach: »Ostatni rok panowania Zygmunta III.« i »Sto Michalski kościół,« wspominaliśmy w pismie naszém, wydał w tymże roku powieść fantastyczną we dwóch tomach, pod nazwą: Pan Karol.

Profesorowi Botto przy uniwersytecie w Turynie udało się nakoniec, po długich i kosztownych próbach, przyprowadzić do skutku *perpetuum mobile* (siłę ciągle ruchomą). Ruch ten wykonywa za pomocą magnetyzmu, połączonego z elektrycznością, a którąto myśl jednocześnie prawie powziął nie dawno pewien Niemiec (ob: Nr. 34. pisma naszego) Słychać, że p. Botto ma wkrótce wiadomość swoję ogłosić drukiem światu uczonemu.

Przy najnowszém wykopywaniu w Herkulanum wydobył sławny badacz dr. Facciolati wazę, dosyć dobrze zachowaną i pięknéj formy, a gdy takową z wielką ostrożnością otworzył, znalazł w niéj zupełnie utrzymaną pomarańczę, zachowaną w occie, która miała jeszcze swój pierwotny kolor i nawet cokolwiek zapachu. Jestto bez wątpienia najstarsza konfitura w całym świecie.

We Francyi, gdzie, jak wiadomo, używają soku z burak ów do robienia cukru, robią w jesieni następujący użytek z liści burakowych: Kładą zupełnie jeszcze zdrowe liście do beczki, albo do obmurowanego i nieprzemakającego dołu, każdą warstwę posypują solą, a wreszcie postępują z liściami, jak z kapustą. Bydło dojne pożywa chętnie takie liście, i w zimie daje po téj paszy tłuste mleko, z którego śmietany bywa żółte i smaczne masło. Bydło je także bardzo chętnie siano i sieczkę, skropione ropą z tych liści.

Znany Fetis ma dawać w Paryżu koncert olbrzymi, na który spodziewają się także Meyerbeera. Jak słychać koncert ten wykonany będzie przez 1480 muzyków.

Czytamy w dzienniku berlińskim *Figaro:* »Gdy zwycięzca Egiptu oczekiwał podczas oblężenia St. Jean d'Acre na działa, które sir Sidney Smith był zabrał, czytał mu dla rozrywki pan Lavalette, adjutant jego w egipskiéj i

syryjskiéj wyprawie, a poźniéj sprawujacy interesa rzeczypospolitéj francuzkiéj na dworze saskim, Klopstocka: »Smierć Adama,« podług przekładu pani de Genlis. W miéjscu, gdzie Kain przeklina ojca swojego, przerwał mu Bonaparte temi słowy: *Cela est grand! cela est sublime! cela est du dernier tragique!* Zaledwo najśmielsza fantazyja byłaby w stanie zebrać razem i umieścić w jedném miéjscu Bonapartego i Klopstocka, Akrę i Syryją; śpiewaka Mesyjady i Adama, chwalonego przez zwycięzcę Egiptu, w bliskości Jordanu i Eufratu.«

Jenerał Rapp prosił dnia pewnego cesarza Napoleona o posunienie na wyższy stopień dwóch oficerów. »Nie chcę być więcéj tak hojnym,« odpowiedział Bonaparte; »już Berthier naktonił mię do tylu awansów. Nie prawdaż« mówił daléj, obracając się do Lauristona, »za naszych czasów nie posuwaliśmy się tak prędko? Ja sam byłem lat kilka porucznikiem.« — »To prawda, Najj. Panie,« odpowiedział Rapp, »ale W. C. Mość wynagrodziłeś sobie poźniéj ten czas stracony.« Napoleon rozśmiał się z téj odpowiedzi i zrobił, o co go proszono.

Napoleon miał nader dotkliwą i łatwo bolom ulegającą głowę; nie lubił przeto nowych kapeluszów i bardzo długo jeden nosił, który wywatowano. Ztąd powstał ów mały, w dziejach tego męża tak sławny kapelusz.

Mieszkańcy Madrytu okazali radość swoję z ustania cholery uroczystością, właściwą narodowi hiszpańskiemu, to jest: walką byków. Cyrk, piszą w doniesieniu o tém, był tą razą więcéj, jak zwykle, napełniony widzami, a zgromadzenie przedstawiało w ogóle przepyszny i zachwycający widok. Piérwsze rzędy lóż zajmowały osoby, słynące w Madrycie z piękności, gracyi i przepychu. Sześć byków padło na placu; piérwéj jednak dziewięć rumaków przebodły rogi tych zapalczywych źwierząt. Powietrze brzmiało okrzykami publiczności. Uwielbiony *matador* Montes robił cuda. Widowisko to trwało aż do nocy.

Dziennik Worcesterski donosi: »Pan Godson, reprezentant parlamentu angielskiego, przybył d. 5. września do Kidderminster, a w sobotę i w niedzielę przyjmował odwiedziny swoich przyjaciół. W poniedziałek zdał raport wyborcom z swoich czynności parlamentowych, a wieczorem traktował herbatą i ciastami 2550 przyjaciółek swoich, które wspiérały jego wybór na członka parlamentu, a to, w 65 na cel ten urządzonych domach. W 27 tych domów były potém tańce i damy hasały do ranka. Poweźmiemy nie małe wyobrażenie o szacunku, w jakim zostaje zacny ten członek u żon i córek wyborców swoich, gdy się dowiemy, że pan Godson odwiedził wszystkie owe 65 domów między 6stą godziną wieczorem a 3cią w nocy, że w każdym z 27 domów tańczył całego kontradansa, w 47 domach noszony był od swoich wyborczyń na ozdobioném wawrzynami krześle tryumfalném i że, jak obliczono, był tego wieczora całowany najmniéj od 2160 ładnych wyborczyń. Ktożby nie chciał być reprezentantem Kiddermisteru! Słychać, że na przyszłe wybory zgłosi się w tém mieście kilku kandydatów do parlamentu.«

Lekarz angielski Dawid Bodham, zapalony przyjaciel muzyki napisał w nutach nieregularne bicie serca pewnéj w szpitalu glasgowskim słabéj niewiasty. Choroba jéj, wyrażona językiem muzycznym, przedstawia bardzo oryginalnego walca: jest ona największą osobliwością anatomii patologicznéj.

Król jmść angielski zezwolił, ażeby rocznie dawano z kasy jego 150 funt. sztrl. na utrzymanie pływającego kościoła na Tamizie.

Anglija posiada teraz 119 autorek; z tych zasługują na wspomnienie następujące: Miss Joanna Baillie, przez Walter-Scotta »siostrą Joanną« zwana, autorka wielu pięcioaktowych pisanych wierszami dramatów, które nigdy wystawiane nie były. Felicyja Hemans, poetka sentymentalna. Letycyja Elżbieta Landon, przyjemna i pełna ducha poetka. Anna More, poetka religijna. Lady Blessington, któréj piękną twarzyczką przyozdabiają zwykle noworoczniki. Lady Morgan, mimo tytułu lady tylko małżonka nobilitowanego aptekarza. Mistress Trollope, która dziełem: »O Stanach Zjednoczonych,« ściągnęła na siebie krytykę całéj Ameryki. Mistress Somerville, która tak uczenie, jak członkowie towarzystw naukowych, pisze o astronomii. Miss Martineau, pisząca romanse o ekonomii politycznéj. Mistress Marcet, pisząca rozprawy chemiczne. Mistress Trimmer, autorka romansów biblijnych. Miss Roberts, która zyskała imię dziełem historyczném: »Dzieje wojny domowéj między czerwoną i białą różą.« Poetki dramatyczne Fanny Kemble i Miss Mitford; piérwsza autorka dramatu »Franciszek I.,« druga autorka przyjętego z wielkiém upodobaniem na teatrze *Victoria* dramatu »Karol I.,« a która piérwéj napisała dramata: »Foscari,« »Nieszpory w Palermo« i »Rienzi.« Inna miss Mary Mitford, jest autorką romansów idylijnych. Wreszcie miss Jameson i miss Edgeworth, celują obrazami, czerpanémi z życia wyższych towarzystw.

Powieść irlandzka o czaszce śmiéch wzbudzającéj ma w sobie coś tak okropnie pociesznego, jak rzadko która powieść gminna. Komik, imieniem Clepsanns, robił dawnémi czasy wielkie wrażenie w Irlandyi. Już twarz jego była taką karykaturą, że ktokolwiek tylko popatrzył się na niego, nie mógł się wstrzymać od śmiéchu. Gdy komik ten odegrał rolę swoję na widowni świata, pochowano go na cmentarzu, gdzie koleją natury wkrótce całkiem zniszczał i tylko czaszka z niego została. Grabarz, kopiący właśnie dla nowego mieszkańca cmentarza grób na oném miejscu, gdzie dawniéj komik był pochowany, wygrzebał przypadkiem jego czaszkę, a nie wiedząc czyją była, postawił na kamieniu. Kilku przechadzających się wszedłszy na cmentarz i postrzegłszy tę czaszkę, zaczęli tak mocno śmiać się, że grabarz nie wiedział co o nich myślić. Patrzy co ich powoduje do tak niezwykłéj wesołości, ale zaledwo rzucił wzrokiem na czaszkę, sam zaczyna zachodzić się od śmiéchu, mimo ponurego humoru swojego. Gdy tak śmieli się razem, zbliża się orszak pogrzebowy, dla którego grabarz czynił przygotowania i płaczkowie, używani w niektórych okolicach Irlandyi, napełniają powietrze głośnemi żalami, z którémi miesza się płacz i narzekanie krewnych i przyjaciół nieboszczyka; ale zaledwo ujrzeli czaszkę, wnet wszyscy zaczynają z początku cicho, potém coraz głośniéj śmiać się, a w końcu tak jednogłośnym i powszechnym buknęli śmiéchem, że obrzęd żałobny przemienił się zupełnie w wesołą scenę zapustną. Jak wieść niesie, pokazywano tę dziwną czaszkę jeszcze przed stoma laty w Irlandyi. Co się z nią poźniéj stało, nie wiadomo.

Na rzéce Missisippi w Stan. Zjed. Ameryki północnéj bywają widowiska sceniczne na płaskich, na teatra urządzonych łodziach. Teatra te płyną od osady do osady, od miasta do miasta, i gdzie tylko spodziéwają się zysku. Idą źle interesa, rozwijają żagle i płyną dalej. Miss Karolina Chapman jest piérwszą aktorką na zachodnich rzékach Stan. Zjed., a gdy występuje, kasa jest zawsze napełniona. Jéj trupa miała piérwotnie bardzo wiele dochodów, ale te pomniejszyły się, odkąd powstało więcéj podobnych trup aktorów, pływających po rzékach.

W pewném miasteczku uskarżali się rzeźnicy przed burmistrzem, że na nowo zaprowadzony targ mało przybywa wołów i baranów. Burmistrz, zastanowiwszy się nad ich zażaleniem, wydał następujące urzędowe ogłoszenie: »Wziąwszy na uwagę słuszną skargę rzeźników miasteczka naszego, jako mało bydła przybywa na targ tutejszy, urząd miejski z burmistrzem swoim na czele uda się na targowicę, dla powiększenia ilości bydła.«

REDAKTOR, MIKOŁAJ MICHALEWICZ. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.